

Bokserzy z obozów koncentracyjnych uczestnicząc w krwawych igrzyskach mogli pomścić pobitych i zabitych przez obozowych katów

6 października 2020

Do obozów koncentracyjnych trafiali także sportowcy, a nawet legendy światowego boksu. Na zaimprovizowanym ringu gladiatorzy toczyli walkę nie tylko o wygraną, pozycję, godność czy jedzenie, ale chcieli w ten sposób także pomścić wszystkie ofiary zakatowane przez Niemców. O tym jak wyglądała obozowa rzeczywistość rozmawiamy z Andrzejem Fedorowiczem, autorem książki „Gladiatorzy z obozów śmierci”.

– W książce „Gladiatorzy z obozów śmierci” odsłania pan mniej znane karty z dziejów funkcjonowania obozów koncentracyjnych. Trafiali do nich bowiem także sportowcy, w tym legendy światowego boksu, a głodni wrażeń Niemcy organizowali krwawe igrzyska. Kto spośród znanych bokserów znalazł się w Oświęcimiu?

– Z Polaków najbardziej znany przed wojną był Antoni Czortek, członek kadry narodowej, olimpijczyk z Berlina, który trafił do Auschwitz w sierpniu 1943 roku. Spośród bokserów z innych krajów prawdopodobnie Victor Young Perez, francuski Żyd z Tunezji, mistrz świata w wadze muszej z 1931 roku. Znakomitym bokserem był Cygan Johann Rukeli Trollmann, mistrz Niemiec w wadze półciężkiej z 1933 roku i Leen Sanders, siedmiokrotny mistrz Holandii w wadze średniej. Ale nie tytuły są tu najważniejsze. Bokserzy, którzy trafili do obozów musieli zaczynać od zera. I wcale niekoniecznie najlepszymi okazywali się ci, którzy byli przed wojną najbardziej utytułowani.

Przykładem „Teddy” Pietrzykowski, którego największym osiągnięciem było zdobycie wicemistrzostwa Polski i mistrzostwa Warszawy w wadze koguciej. Gdy trafił do Auschwitz a później do Neuengamme, okazał się niepokonanym mistrzem, prawdziwą „maszyną bojową”. On, amator, wygrywał w obozowych ringach z zawodowymi bokserami, z którymi wcześniej nie miałby najmniejszych szans. Jak to możliwe? Sam wiele razy zadawałem sobie to pytanie, pisząc książkę. Odpowiedź jest taka, że rzeczywistość obozów koncentracyjnych albo pozbawiała ludzi woli oporu, albo wręcz przeciwnie – wyzwalała chęć walki i niezwykły instynkt przetrwania. Do tego stopnia, że utalentowany, ale jednak dość nierówny w czasie swojej amatorskiej kariery Teddy mógł stać się niekwestionowanym mistrzem bokserkim Auschwitz, którego podziwiali nawet kapo i esesmani, stawiając w zakładach na niego wielkie pieniądze.

– Tadeusz Pietrzykowski ps. „Teddy” w obozach koncentracyjnych stoczył ponad 60 walk, a po zakończeniu wojny wziął udział w zaledwie kilkunastu starciach i porzucił boks. Dlaczego tak się stało?

– To właśnie jedna z zagadek tej postaci. Ekstremalne doświadczenie, jakim był obóz koncentracyjny, wyzwoliło w nim niezwykłą wolę i siłę. Gdy odzyskał wolność, wróciły choroby i kontuzje, zaczął przegrywać i zrezygnował z boksu, ale nie ze sportu. Został nauczycielem wuefu, podczas gdy inni obozowi gladiatorzy, tacy jak Antoni Czortek czy Edward Rinke kontynuowali kariery zawodnicze, a potem trenerskie. Ale proszę sobie wyobrazić takiego wuefistę, jak Teddy. To samo w sobie jest już tematem na osobną książkę.

– Jak selekcjonowano osoby, którzy później miały stanąć na ringu? Czy każdy więzień mógł walczyć na ringu?

– Nie było jednego schematu, podobnie jak nie było dwóch takich samych obozów koncentracyjnych. Niektórzy, jak Teddy, zgłaszali się sami do walk z kapo, bo po prostu byli głodni, a za walkę można było dostać chleb. Inni, bardziej znani, jak

Czortek, Trollmann, Sanders czy Perez byli szybko rozpoznawani i czasem wręcz zmuszani do walk. Jeśli byli w stanie zapewnić dobre widowisko i wysokie wygrane z zakładów, ich pozycja w obozie rosła, mogli dostać lepszą pracę, lepsze wyżywienie. Jednak nie zawsze tak było. Johann Rukeli Trollmann był od początku prześladowany, do tego stopnia, że obozowa konspiracja z KL Neuengamme sfinansowała jego śmierć i pod zmienionym nazwiskiem trafił do innego obozu. Tam jednak został szybko rozpoznany i znów musiał walczyć. Gdy wygrał z najbardziej brutalnym i znienawidzonym kapo, jego los był przypieczętowany. Zabito go w podstępny sposób. Jednak dla innych więźniów jego walka stała się wielkim moralnym wsparciem. Trzeba pamiętać, że pobicie kapo w obozie karane było śmiercią. Ring był miejscem, na którym bokser mógł pomścić wszystkich ludzi pobitych i zakatowanych przez obozowych bandytów. Dlatego te walki były tak ważne. Pokazywały skrajnie poniżonym ludziom, że ich oprawcy nie są niepokonani i bezkarni. Chociaż sami gladiatorzy czasem płacili za to życiem. Wracając jednak do pytania – trudno powiedzieć, jak było we wszystkich obozach, ale w tych, które pojawiają się w książce – Auschwitz, Neuengamme, Gross-Rosen, Mauthausen, Sachsenhausen, Jaworznie czy Monowicach praktycznie każdy, kto chciał, mógł spróbować sił w ringu. Decydowało się niewiele. Byli jednak tacy jak Hercka Haft, żydowski chłopak z Bełchatowa, który w ringu stanął po raz pierwszy w filii KL Auschwitz w Jaworznie. Był niepokonany, przeżył, a po wojnie wyemigrował do USA i walczył z samym Rockym Marciano, zawodowym mistrzem wszechwag.

– Gdzie organizowano walki?

– Wszędzie, gdzie się dało. W baraku, na placu apelowym, między barakami, w kuchni, łaźni. W Monowicach, których komendantem był fanatyk boksu, esesman Heinrich Schwarz, na specjalne okazje stawiano nawet cyrkowy namiot. Na wyjątkowe walki, w czasie których stawiali naprzeciw siebie najbardziej znani gladiatorzy, ściągani czasem z innych obozów,

przyjeżdżali niemieccy generałowie z samego Berlina. W przerwach grały obozowe orkiestry, były występy więźniów-artystów. Brzmi to absurdalnie i niemal nierealnie, ale taki właśnie był świat obozów.

– Krwawe igrzyska były dla Niemców dochodową rozrywką i zabawą, a dla „gladiatorów z Auschwitz” – walką o godność i honor. Okazuje się, że po wygranej walce bokserzy mieli nie tylko satysfakcję, ale zdobywali też pewne profity. Co mogli wygrać?

– Główną nagrodą było oczywiście jedzenie. Więźniowie obozów byli skrajnie wygłodzeni, była to jedna z głównych przyczyn ich śmierci. Teddy Pietrzykowski za swoją pierwszą walkę dostał bochenek chleba i kostkę margaryny – podzielił się nimi z sześcioma współwięźniami. Potem, kiedy był już mistrzem, mógł stawiać warunki. Za jedną z wygranych walk zażyczył sobie pięciu kotłów zupy z esesmańskiej kuchni – prawdziwej zupy, a wodnistej lury jaką otrzymywali więźniowie – i dostał je. Dzięki temu być może uratował życie kilku albo i kilkunastu kolegów, którzy po raz pierwszy od miesiący a może nawet lat mogli najeść się do syta. To było najważniejsze – wygrać nie dla samej satysfakcji, ale po to, by pomagać innym.

– Inną ciekawą postacią jest Jerzy Junosza Kowalewski, którego rodzice wywodzili się ze starej, polskiej szlachty rodowej. W obozach był nie tylko bokserem, ale należał także do obozowego ruchu oporu. Co więcej, tamtejsi lekarze w Auschwitz prowadzili na nim także eksperymenty z tyfusem. Jak potoczyły się jego losy?

– Jerzy Kowalewski trafił do Auschwitz z więzienia na Pawiaku, gdzie osadzono go za udział w podziemnej organizacji. W czasie śledztwa, w siedzibie gestapo na Szucha, wybito mu niemal wszystkie zęby, nie przyznał się jednak do niczego i trafił do Auschwitz. W obozie spotkał Tadeusza Pietrzykowskiego, z którym jako 14-letni adept boksu robił przed wojną pokazówkę w swoim gimnazjum w Warszawie – takich niesamowitych zbiegów

okoliczności w mojej książce zresztą nie brakuje. W Auschwitz jednak nie walczył, był tam tylko kilka miesięcy. Gladiatorem został w Gross-Rosen, bardzo ciężkim obozie, gdzie udawało mu się wygrywać z o wiele starszymi, cięższymi i bardziej doświadczonymi zawodnikami. Podobnie jak w przypadku Teddy'ego zadziałał tu instynkt przetrwania i niezwykła wola walki, co nie było typowe dla „chłopca z dobrego domu”, który nigdy wcześniej nie zetknął się z taką brutalnością. Jerzy Kowalewski, jedyny z opisywanych przeze mnie gladiatorów, którego poznałem osobiście, często w rozmowach powtarzał, że o życiu lub śmierci w obozie decydowały sekundy. Wystarczyła chwila nieuwagi... Gdy trafił do obozu, był nastolatkiem i to doświadczenie pozostało w nim na zawsze. Po wojnie wyemigrował do Argentyny, gdzie poznał samą Evitę Peron, potem wrócił do Polski, by opiekować się matką. Miał problemy z UB, znalazł pracę jako instruktor sportowy, uczył jazdy na nartach i gry w tenisa. Bardzo angażował się w prace stowarzyszenia byłych więźniów Auschwitz, jeszcze jako osiemdziesięciolatek oprowadzał po obozie młodych ludzi z Izraela opowiadając, jak wyglądało życie za drutami.

– Zajmuje się pan historycznym dziennikarstwem śledczym. Na koncie poza „Gladiatorami z obozów śmierci” ma pan już takie publikacje jak m.in.: „Słynne ucieczki Polaków” czy „Warszawa – stolica szpiegów”. A jak wyglądają plany na przyszłość i jakie zagadnienia chciałby pan poruszyć w kolejnej książce?

– Staram się unikać rutyny i zaszufładowania jako autor takiego czy innego rodzaju opowieści. Nasza historia to kopalnia tematów, szukam ich w różnych miejscach i epokach. Niewątpliwie jednak interesują mnie skrajne doświadczenia, swego rodzaju „ekstremalna historia Polaków”, chociaż w „Gladiatorach” polskie wątki przeplatają się z wieloma innymi, przede wszystkim żydowskimi. Więc zapewne kolejna książka będzie związana z takim właśnie spojrzeniem na naszą historię.

– Dziękuję serdecznie za rozmowę!

Z Andrzejem Fedorowiczem rozmawiała Magdalena Mikrut-Majeranek

Źródło: [Histmag.org](https://histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)